KEN FOLLETT

ŚWIAT BEZ KOŃCA

1

Gwenda miała dopiero osiem lat, ale nie bała się ciemności.

Otworzywszy oczy, niczego nie zobaczyła, lecz nie to napawało ją lękiem. Wiedziała, gdzie się znajduje. Była w klasztorze Kingsbridge, w podłużnym kamiennym budynku zwanym szpitalem. Leżała obok matki. Ciepły mleczny zapach świadczył o tym, że mama niedawno nakarmiła najmłodsze dziecko, które nie miało jeszcze imienia. Obok mamy leżał tata, a dalej dwunastoletni starszy brat Gwendy, Philemon.

Szpital był zapełniony i choć Gwenda nie widziała innych rodzin stłoczonych niczym owce w stodole, czuła nieświeży zapach ich rozgrzanych ciał. O świcie rozpocznie się dzień Wszystkich Świętych, który w tym roku jest jeszcze bardziej świętym dniem niż zazwyczaj, gdyż przypada w niedzielę. Wigilia Wszystkich Świętych to niebezpieczny czas, w którym duchy swobodnie wędrują po ziemi. Setki ludzi przybyły do Kingsbridge z okolicznych wiosek, podobnie jak rodzina Gwendy, aby spędzić ten dzień w poświęconych budynkach klasztoru i o świcie wziąć udział w mszy.

Gwenda lękała się złych duchów, tak jak każdy rozsądny człowiek. Bardziej jednak przerażało ją to, co będzie musiała zrobić podczas nabożeństwa.

Patrzyła w ciemność, starając się nie myśleć o przyczynie swego lęku. Wiedziała, że w ścianie naprzeciwko znajduje się półokrągłe okno. Nie było w nim szkła — tylko w najważniejszych budynkach wstawiano w okna szyby — lecz lniana zasłona zatrzymująca chłodne jesienne powietrze. Jednak Gwenda nie widziała nawet bladej plamy szarości w miejscu, gdzie było okno. Odpowiadało jej to. Wolała, żeby ranek nie nadchodził jak najdłużej.

Nic nie widziała, lecz zewsząd dobiegało mnóstwo rozmaitych odgłosów. Słoma na klepisku szeptała bez przerwy, gdyż ludzie poruszali się i wiercili we śnie. Jakieś dziecko krzyknęło płaczliwie, jak gdyby obudzone złym snem. Cichy łagodny głos któregoś z rodziców szybko je uspokoił. Czasem ktoś mruknął niewyraźnie przez sen, a czasem dał się słyszeć odgłos tego, co robili także rodzice Gwendy, choć nigdy o tym nie rozmawiali. Gwenda nazywała tę

czynność stękaniem, ponieważ nie znała innego określenia.

Niebawem — zdaniem Gwendy o wiele za wcześnie — zaczęło się rozwidniać. We wschodniej części długiej izby, w drzwiach za ołtarzem, pojawił się mnich ze świecą w dłoni. Ustawił świecę na ołtarzu, zapalił od niej długą drzazgę i ruszył wzdłuż ściany, dotykając płomieniem lamp. Jego cień za każdym razem wspinał się wysoko, gdy drzazga spotykała się z knotem.

Coraz mocniejsze światło wydobywało z półmroku skulone postacie leżące na klepisku, okutane w szare ubrania albo przytulone do sąsiadów w poszukiwaniu ciepła. Chorzy zajęli prycze w pobliżu ołtarza, aby jak najwięcej skorzystać z dobrodziejstw świętego miejsca. W przeciwnym końcu izby znajdowały się schody prowadzące na piętro, do komnat dla arystokracji. Gościł tam hrabia Shiring wraz z rodziną.

Mnich schylił się nad Gwendą, aby zapalić lampę tkwiącą nad jej głową. Zauważył, że dziewczynka spogląda na niego, i uśmiechnął się. W drgającym świetle Gwenda rozpoznała twarz brata Godwyna. Był młody i przystojny, wczoraj wieczorem życzliwie odezwał się do Philemona.

Obok rodziny Gwendy miejsce na klepisku zajęła inna rodzina z ich wioski: zamożny kmieć Samuel, właściciel sporego gospodarstwa, oraz jego żona i dwaj synowie. Młodszy z nich, Wulfric, miał sześć lat i był złośliwy. Rzucał w dziewczynki żołędziami, a potem umykał ze śmiechem.

Rodzina Gwendy nie była bogata. Ojciec nie miał ziemi, musiał więc pracować u innych jako parobek. Latem nigdy nie brakowało roboty, lecz po żniwach, gdy nadchodziły chłody, rodzina często cierpiała głód.

Dlatego Gwenda musiała kraść.

Wyobrażała sobie, jak zostaje przyłapana, jak wije się bezsilnie w uścisku żelaznej dłoni, słyszała głęboki, pozbawiony litości głos: „Patrzcie, mała złodziejka!”. Ból i upokorzenie chłosty, a potem to, co najgorsze: odrąbanie toporem ręki.

Ojca już ta kara spotkała. Jego lewa ręka kończyła się szkaradnym pomarszczonym kikutem. Radził sobie jedną ręką: umiał posługiwać się łopatą, osiodłać konia, a nawet upleść sieć do łapania ptaków, lecz mimo to wiosną znajdował zatrudnienie jako ostatni, a jesienią był pierwszym do zwolnienia. Nie mógł opuszczać wioski i szukać pracy gdzie indziej, bowiem obcięta ręka świadczyła o tym, że jest złodziejem, i nikt by go nie przyjął. Kiedy gdzieś wyruszał, przywiązywał do kikuta wypchaną rękawicę, jednak nieznajomi nie dawali się długo nabierać na tę sztuczkę.

Gwenda nie była świadkiem wymierzania kary tacie — stało się to, zanim przyszła na świat — ale często ją sobie wyobrażała i nie mogła uwolnić się od lęku, że ją spotka to samo. Oczami wyobraźni widziała, jak ostrze topora spada na nadgarstek, przecina skórę i kości i nieodwracalnie oddziela dłoń od przedramienia. A ona mogłaby tylko zaciskać zęby, żeby nie krzyczeć wniebogłosy.

Ludzie wstawali, przeciągali się, ziewali i przecierali twarze. Gwenda wyprostowała się i poprawiła ubranie. Wszystkie rzeczy nosił przed nią starszy

brat. Miała na sobie wełnianą koszulę sięgającą do kolan oraz kaftan przewiązany w talii paskiem z konopi. Jej trzewiki można było kiedyś wiązać, lecz dziurki się popruły i sznurowadła wyleciały, więc Gwenda przywiązywała je do stóp splecionymi wiązkami trawy. Schowała włosy pod czapkę z wiewiórczych ogonków i w ten sposób zakończyła dzieło ubierania.

Ojciec otworzył oczy i dyskretnie wskazał wzrokiem rodzinę po przeciwnej stronie izby. Byli to ludzie w średnim wieku z dwoma synami niewiele starszymi od Gwendy. Mężczyzna był niski, drobny i miał kędzierzawą rudą brodę. Przypinał sobie do pasa miecz, co oznaczało, że jest wojownikiem albo rycerzem. Prostym ludziom nie wolno było nosić broni. Jego żona była chuda, miała żwawe ruchy i chmurną minę. Brat Godwyn skinął im z szacunkiem głową.

— Dzień dobry, sir Geraldzie i lady Maud.

Gwenda szybko odgadła, co zwróciło uwagę ojca. U pasa sir Geralda, na skórzanym rzemyku, dyndała pękata sakiewka. Mogła zawierać kilkaset srebrnych pensówek, półpensówek i ćwierćpensówek. Ojciec musiałby pracować przez cały rok, żeby zarobić tyle pieniędzy. Rzecz jasna pod warunkiem, że miałby robotę. Wystarczyłoby ich aż nadto, by wyżywić całą rodzinę do pory wiosennej orki. W sakiewce mogły się nawet kryć złote monety — floreny bite we Florencji lub weneckie dukaty.

Gwenda chodziła z zawieszonym na szyi małym nożykiem w drewnianym futerale. Ostrze błyskawicznie przetnie rzemyk i gruba sakiewka spadnie w jej drobne dłonie. Chyba że sir Gerald coś poczuje i nakryje ją, zanim Gwenda zdoła tego dokonać...

Godwyn podniósł głos, aby było go słychać w narastającym gwarze.

— Chrystus uczy nas miłości, dlatego przed mszą Wszystkich Świętych zostanie podane śniadanie! — oznajmił. — Z fontanny na dziedzińcu można się napić czystej wody. Pamiętajcie, że na zewnątrz są latryny, nie sikajcie w szpitalu!

Mnisi i zakonnice bardzo dbali o czystość. Wieczorem Godwyn przyłapał sześcioletniego malca na siusianiu w kącie i usunął z izby całą rodzinę. Jeśli nie mieli pensa na gospodę, musieli spędzić zimną październikową noc na kamiennej posadzce północnego przedsionka katedry. Obowiązywał także zakaz wprowadzania zwierząt. Trzynogi pies Gwendy, Hop, nie został wpuszczony do środka. Nie wiedziała, gdzie spędził noc.

Zapaliwszy wszystkie lampy, Godwyn otworzył wysokie drewniane drzwi. Gwenda poczuła chłodne nocne powietrze na uszach i czubku nosa. Przybysze opatulili się pelerynami i ruszyli w stronę wyjścia. Gdy sir Gerald z rodziną skierował się ku drzwiom, tata i mama Gwendy podążyli za nimi, Gwenda i Philemon także.

Dotychczas to Philemon zajmował się kradzieżą, ale wczoraj omal nie przyłapano go na rynku w Kingsbridge. Zwędził dzbanek drogiej oliwy ze straganu włoskiego kupca, a potem go upuścił i wszyscy to zobaczyli. Na szczęście dzbanek się nie rozbił. Philemon musiał udać, że strącił go niechcący.

Jeszcze do niedawna Philemon był drobny i niepozorny tak jak Gwenda, lecz w ciągu ostatniego roku urósł o kilka cali i stracił dawną zręczność, jak gdyby

nie zdołał przywyknąć do nowego, większego ciała. Na dodatek jego głos nabrał głębszego tonu. Wczoraj wieczorem tata stwierdził, że Philemon jest już za duży, by dokonywać poważnych kradzieży, toteż obowiązek ten przeszedł na Gwendę.

Właśnie dlatego dziewczynka tak długo nie mogła w nocy zasnąć.

Philemon naprawdę miał na imię Holger. W wieku dziesięciu lat postanowił zostać mnichem i opowiadał wszystkim, że zmienia imię na Philemon, gdyż brzmi ono znacznie bardziej religijnie. O dziwo, większość ludzi zastosowała się do jego życzenia, jednak mama i tata wciąż wołali na niego Holger.

Przed wejściem stały dwa szpalery drżących z zimna zakonnic, które pochodniami oświetlały drogę ze szpitala do wielkich zachodnich wrót katedry.

Na skraju oświetlonej przestrzeni cienie skakały niczym chochliki i gnomy dokazujące w ciemności, jak gdyby tylko świątobliwość zakonnic trzymała je z dala od ludzi.

Gwenda spodziewała się ujrzeć Hopa, ale nigdzie go nie było. Może znalazł sobie ciepłe miejsce do spania? Tata pilnował, żeby nie zostali za bardzo w tyle za sir Geraldem. Ktoś boleśnie pociągnął Gwendę za włosy. Pisnęła, myśląc, że to jakiś złośliwy stwór, lecz odwróciwszy się, zobaczyła Wulfrica, sześcioletniego sąsiada. Chłopiec odskoczył, nie pozwalając się Gwendzie złapać. Jego ojciec krzyknął: „Zachowuj się!" i zdzielił go w głowę. Malec wybuchnął płaczem.

Olbrzymia świątynia piętrzyła się nad stłoczonymi ludźmi niczym bezkształtna masa kamienia. Widać było wyraźnie tylko dolne części, łuki i słupy okienne, pomarańczowe i czerwone w niepewnym blasku pochodni. Pochód zwolnił, zbliżając się do wejścia do katedry. Z naprzeciwka nadchodzili mieszczanie. Były ich setki, może nawet więcej niż tysiąc. Gwenda nie wiedziała dokładnie, ile to jest tysiąc, bo nie umiała do tylu zliczyć.

Tłum sunął z wolna przez westybul. Niespokojne światło pochodni padało na rzeźby rozmieszczone przy ścianach, wprawiając je w dziki pląs. Na samym dole panoszyły się demony i potwory. Gwenda spoglądała z niepokojem na smoki i gryfony, na niedźwiedzia z ludzką głową i psa o dwóch tułowiach, lecz z jednym nosem. Niektóre stwory pastwiły się nad ludźmi: diabeł wsuwał pętlę na szyję mężczyzny, podobny do lisa potwór wlókł kobietę za włosy, orzeł z ludzkimi rękami przebijał włócznią nagiego mężczyznę. Nad tymi scenkami stali święci pod baldachimami, a jeszcze wyżej na tronach zasiadali apostołowie. Pod łukiem nad głównym wejściem miejsce zajmował święty Piotr z kluczem i święty Paweł ze zwojem papirusu. Obaj wznosili głowy, spoglądając z uwielbieniem na Jezusa.

Gwenda wiedziała, że Pan Jezus nakazuje jej nie grzeszyć, gdyż będą ją za to dręczyć diabły. Ona jednak bardziej bała się ludzi niż diabłów. Jeśli nie zdoła ukraść sakiewki sir Geraldowi, ojciec ją zbije. A co gorsza, rodzina nie będzie miała nic do jedzenia oprócz zupy z żołędzi. Ona i Philemon będą chodzili głodni przez długie tygodnie. W piersiach mamy zabraknie pokarmu i dziecko umrze tak jak dwoje poprzednich. Tata będzie znikał na całe dnie, a potem wracał z chudym żurawiem albo kilkoma wiewiórkami. Głód jest gorszy od

chłosty, bo trwa dłużej.

Bardzo wcześnie nauczyła się kraść: a to jabłko ze straganu, a to jajko zniesione przez kurę sąsiada, a to nóż upuszczony przez pijaka w gospodzie. Ale kradzież pieniędzy to co innego. Jeśli zostanie przyłapana, na nic zdadzą się łzy. Nikt nie potraktuje jej jak niegrzecznego dziecka, tak jak kiedyś, gdy zwędziła skórzane trzewiki zakonnicy o miękkim sercu. Ukradzenie rycerzowi mieszka z pieniędzmi to nie dziecięcy psikus, tylko prawdziwe przestępstwo, które zostanie potraktowane z całą surowością.

Gwenda starała się o tym nie myśleć. Jest drobna i zręczna, zdejmie sakiewkę niepostrzeżenie jak duch. Jeśli uda jej się opanować drżenie.

Przestronne wnętrze katedry zaroiło się od wiernych. Zakapturzeni mnisi stali w bocznych nawach, trzymając w dłoniach pochodnie rzucające migotliwe światło. Kolumny głównej nawy nikły w półmroku. Gwenda trzymała się blisko sir Geralda. Rudowłosy rycerz i jego żona nie zauważyli jej. Ich synowie także nie zwracali na nią uwagi. Rodzina Gwendy została z tyłu.

Nawa szybko się zapełniała. Gwenda nigdy nie widziała tylu ludzi zgromadzonych w jednym miejscu — było ich więcej niż na trawniku przed katedrą w dzień targowy. Wierni pozdrawiali się radośnie, czując, że w tym świętym miejscu złe duchy im nie zagrażają. Gwar głosów zamieniał się w głośny szum.

Nagle rozległo się bicie dzwonu i zapadła cisza.

Sir Gerald stanął obok rodziny mieszczan. Wszyscy mieli na sobie drogie okrycia z pięknej tkaniny, byli więc pewnie bogatymi handlarzami wełny. Obok rycerza stała dziewczynka w wieku około dziesięciu lat. Gwenda stanęła za nimi. Starała się nie rzucać w oczy, lecz ku jej przerażeniu dziewczynka uśmiechnęła się do niej, jakby chciała dodać jej otuchy.

Mnisi zgasili pochodnie i we wnętrzu katedry zapadła ciemność.

Gwenda nie wiedziała, czy dziewczynka ją zapamięta. Większość ludzi spoglądało na nią i ją ignorowało. Nieznajoma dziewczynka zwróciła na nią uwagę, wyczuła jej lęk i uśmiechnęła się przyjaźnie. Ale w katedrze znajdowały się setki dzieci. Przecież to niemożliwe, żeby w mrocznym wnętrzu zdołała dokładnie przyjrzeć się jej twarzy... Gwenda starała się nie myśleć o tym zagrożeniu.

Niewidzialna w ciemności, wsunęła się bezszelestnie między dwie postaci. Z jednej strony czuła miękką wełnę płaszcza nieznajomej dziewczynki, z drugiej sztywną tkaninę peleryny rycerza. Teraz mogła sięgnąć po sakiewkę.

Nagle ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk. Gwenda spodziewała się go — mama uprzedziła ją, czego należy oczekiwać w czasie mszy — lecz mimo to ogarnął ją lęk. Wrzask zabrzmiał jak jęk torturowanego człowieka.

Potem dał się słyszeć dudniący dźwięk, jak gdyby ktoś walił w metalową miskę. Nastąpiły kolejne: zawodzenie, obłąkańczy śmiech, róg myśliwski, grzechotka, odgłosy zwierząt i pękniętego dzwonu. Jakieś dziecko w tłumie wiernych wybuchło płaczem, później inne. Ktoś z dorosłych zaśmiał się nerwowo. Wszyscy wiedzieli, że te dziwaczne odgłosy wydają mnisi, lecz mimo

to robiły one wrażenie piekielnej kakofonii.

Gwenda pomyślała z lękiem, że to nie jest odpowiedni moment na kradzież sakiewki. Wszyscy byli czujni i spięci. Rycerz poczuje jej dotknięcie.

Diabelski harmider narastał, lecz dołączył do niego inny dźwięk: śpiew. Początkowo był tak cichy, że Gwenda nie miała pewności, czy naprawdę go słyszy, ale śpiew przybierał na sile. To śpiewały zakonnice. Ciało Gwendy napięło się. Nadchodziła decydująca chwila. Poruszając się niczym duch, lekko jak powietrze odwróciła się przodem do sir Geralda.

Doskonale pamiętała, co rycerz ma na sobie — ciężki wełniany płaszcz przewiązany w talii szerokim, nabijanym ćwiekami pasem. Sakiewka była przytroczona do pasa skórzanym rzemieniem. Płaszcz okrywała haftowana peleryna, droga, lecz wytarta, z pożółkłymi guzikami z kości na przodzie. Część guzików była zapięta, ale nie wszystkie. Rycerz pewnie był zaspany albo przejście ze szpitala do katedry trwało tak krótko, że nie musiał się dokładnie zapinać.

Gwenda leciutko przyłożyła dłoń do płaszcza. Wyobraziła sobie, że jej ręka jest pająkiem, który prawie nic nie waży. Pająk przesunął się po tkaninie i natrafił na jej krawędź, a dalej, tuż obok ciężkiego pasa, na sakiewkę.

Jazgot diabelskich odgłosów zamierał, a śpiew narastał. Z szeregów wiernych dobiegł szmer podziwu. Gwenda niczego nie mogła dostrzec, ale wiedziała, że na ołtarzu zapalono lampę oświetlającą relikwiarz — misternie rzeźbioną skrzynię z kośćmi świętego Adolfa, której w tym miejscu nie było, gdy gasły pochodnie. Tłum drgnął, bo wierni chcieli znaleźć się jak najbliżej świętych szczątków. Gwenda stała wciśnięta pomiędzy sir Geralda i mężczyznę stojącego przed nim. Uniosła prawą dłoń i przyłożyła ostrze noża do rzemyka.

Skóra była mocna, nie udało się przeciąć jej za pierwszym razem. Gwenda poruszała gorączkowo nożem z rozpaczliwą nadzieją, że sir Gerald jest pochłonięty sceną rozgrywającą się na ołtarzu i nie widzi, co się dzieje pod jego nosem. Uniosła głowę i ujrzała kontury postaci. Mnisi i zakonnice zapalali świece. Za chwilę zrobi się jasno. Gwenda nie miała chwili do stracenia.

Szarpnęła nożem z całej siły i rzemień puścił. Sir Gerald jęknął cicho — poczuł coś, czy zareagował na to, co widział na ołtarzu? Sakiewka opadła i wylądowała w dłoni Gwendy, ale okazała się za ciężka i wysunęła się jej z ręki. Gwenda przeraziła się, że spadnie na posadzkę pod szurające nogi wiernych. Na szczęście zdołała ją złapać i utrzymać.

Poczuła radosną ulgę — zdobyła sakiewkę.

Wciąż jednak groziło jej straszliwe niebezpieczeństwo. Jej serce biło tak mocno, iż miała wrażenie, że wszyscy muszą je słyszeć. Błyskawicznie odwróciła się tyłem do rycerza, jednocześnie wrzucając ciężką sakiewkę za kaftan. Mieszek sterczał jej z przodu niczym krągły brzuch grubasa. Gwenda przesunęła go na bok, pod ramię. Kiedy rozbłysną światła, wybrzuszenie będzie widoczne, ale nie miała gdzie ukryć zdobyczy.

Wsunęła nóż do futerału. Teraz musi szybko zniknąć, zanim sir Gerald zauważy stratę. Jednak napór wiernych, który pomógł Gwendzie niepostrzeżenie

skraść sakiewkę, teraz utrudniał jej odwrót. Chciała zrobić krok do tyłu, mając nadzieję, że się przeciśnie, lecz wszyscy parli do przodu, żeby zobaczyć kości świętego. Gwenda znalazła się w pułapce. Nie mogła się ruszyć, a stała tuż przed mężczyzną, którego okradła.

— Nic ci nie jest? — usłyszała tuż obok swego ucha.

Był to głos bogatej nieznajomej dziewczynki. Gwenda zmagała się ze strachem. Chciała być niewidzialna, życzliwość innego dziecka była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała. Zacisnęła usta.

— Uważajcie — rzekła tamta. — Ściskacie tę dziewczynkę.

Gwenda omal nie krzyknęła. Życzliwość małej bogaczki mogła kosztować Gwendę utratę ręki.

Położyła dłonie na plecach mężczyzny stojącego przed nią i odepchnęła się do tyłu. Osiągnęła tyle, że zwróciła na siebie uwagę sir Geralda.

— Pewnie nic nie widzisz, co? — rzekła wyrozumiale ofiara Gwendy i ku jej przerażeniu złapała ją pod ręce i uniosła.

Gwenda nie mogła nic zrobić. Duża dłoń rycerza spoczęła o cal od sakiewki. Patrzyła przed siebie, więc sir Gerald widział tylko tył jej głowy. Mnisi i zakonnice na ołtarzu zapalali coraz więcej świec i śpiewali pieśni dawno zmarłemu świętemu. W dużym rozetowym oknie nad ołtarzem we wschodniej ścianie budowli zamajaczyło słabe światło. Nadchodził świt, odpędzając złe duchy. Diabelski jazgot ucichł, śpiew rozbrzmiał głośniej. Na ołtarz wszedł wysoki przystojny mnich. Gwenda rozpoznała Anthony'ego, opata Kingsbridge. Uniósł ręce w geście błogosławieństwa i donośnym głosem oznajmił:

— I tak oto dzięki łasce Pana naszego, Jezusa Chrystusa, moce zła i ciemności ustępują przed harmonią i światłem Kościoła Bożego.

Wierni wznieśli okrzyk radości, zapanował swobodniejszy nastrój. Najważniejszy moment ceremonii minął. Gwenda poruszyła się, sir Gerald zrozumiał jej gest i postawił ją na ziemi. Odwracając twarz w drugą stronę, przepchnęła się obok niego. Wierni nie spoglądali już tak gorączkowo w kierunku ołtarza, mogła więc przesuwać się między nimi. Im bardziej się oddalała, tym było łatwiej. Wreszcie dotarła do zachodnich drzwi i zobaczyła rodzinę.

Tata spoglądał na nią wyczekująco, gotów okazać gniew, w razie gdyby nie wykonała zadania. Gwenda wyciągnęła sakiewkę zza koszuli i rzuciła mu, rada, że może się jej pozbyć. Złapał mieszek i zerknął dyskretnie do środka, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem. W tej samej chwili oddał go żonie, a ta błyskawicznie wsunęła zdobycz między fałdy kocyka, którym owinięte było dziecko.

Gwenda najgorsze miała już za sobą, lecz wciąż groziło jej niebezpieczeństwo.

— Jakaś bogata dziewczynka mnie zauważyła — powiedziała ze strachem.

W małych ciemnych oczach taty błysnął gniew.

— Zobaczyła, co robisz?

— Nie, ale ostrzegła ludzi, że zaraz mnie zgniotą. Wtedy rycerz podniósł mnie, żebym mogła lepiej widzieć.

Mama cicho jęknęła.

— A więc widział twoją twarz — stwierdził tata.

— Starałam się patrzeć w drugą stronę.

— Lepiej, żeby cię nie zobaczył — rzekł tata. — Nie pójdziemy do szpitala, zjemy śniadanie w gospodzie.

— Nie możemy się ukrywać przez cały dzień — zauważyła mama.

— Ale możemy wmieszać się w tłum.

Gwenda poczuła się raźniej. Tata uważał, że nie grozi jej niebezpieczeństwo. Jednak najważniejsze było to, że teraz on przejął odpowiedzialność.

— Poza tym wolę chleb i mięso, zamiast wodnistej kaszy u mnichów — dodał. — Teraz mnie stać!

Rodzina wyszła z kościoła. Niebo zrobiło się perlistoszare. Gwenda chciała wziąć mamę za rękę, ale dziecko się rozpłakało i musiała się nim zająć. Nagle zobaczyła małego trzynogiego psa z czarnym pyskiem, który charakterystycznym truchtem biegł w stronę katedry.

— Hop! — krzyknęła, podniosła pieska i uściskała go.

2

Merthin miał jedenaście lat i był o rok starszy od Ralpha, swojego brata, lecz ten był wyższy i silniejszy, co bardzo Merthina złościło.

Stanowiło to źródło trosk dla ich rodziców. Ojciec chłopców, sir Gerald, był rycerzem i nie potrafił ukryć rozczarowania, gdy okazało się, że Merthin nie jest w stanie dźwignąć ciężkiej lancy, męczy się szybko przy rąbaniu drewna lub wraca do domu z płaczem po przegranej bójce. Matka, lady Maud, tylko pogarszała sprawę, wprawiając go w zakłopotanie swoją opiekuńczością, podczas gdy on wolałby, żeby udawała, iż niczego nie zauważyła. Kiedy ojciec opowiadał z dumą o krzepie Ralpha, matka starała się zrekompensować to starszemu synowi, krytykując tępotę młodszego. Ralph rzeczywiście wolno myślał, lecz nie była to jego wina, a wypominanie mu tej słabości denerwowało go i przez to wdawał się w bójki z innymi chłopcami.

Rodzice w dniu Wszystkich Świętych byli rozdrażnieni. Ojciec nie chciał przyjeżdżać do Kingsbridge, ale został do tego zmuszony. Był winien pieniądze opactwu, lecz nie mógł spłacić długu. Matka stwierdziła, że mogą mu zabrać ziemię, sir Gerald był bowiem właścicielem trzech wiosek w okolicy Kingsbridge. Przypomniał jej, że pochodzi w prostej linii od Thomasa, który został hrabią Shiring w tym samym roku, w którym arcybiskup Becket zginął z rozkazu króla Henryka II. Hrabia Thomas był synem Jacka Buildera *, architekta, który zaprojektował katedrę w Kingsbridge, oraz lady Alieny z Shiring. Tych dwoje stanowiło niemal mityczną parę, o której w długie zimowe wieczory snuto

---

* *Builder* (ang.) — budowniczy.

opowieści na przemian z legendami o królu Karolu Wielkim i Rolandzie. „Komuś, kto ma takich przodków, nie można odebrać majątku!", krzyczał sir Gerald. A już na pewno nie może tego uczynić ta stara baba, przeor Anthony. Lady Maud odwróciła się z wyrazem rezygnacji na twarzy, lecz Merthin usłyszał, co wymamrotała pod nosem: „Lady Aliena miała brata Richarda, który nie nadawał się do niczego oprócz robienia mieczem".

Przeor Anthony może i zasługiwał na miano starej baby, lecz okazał się wystarczająco silnym mężczyzną, by poskarżyć się, że sir Gerald nie spłaca długów. Udał się do suwerena Geralda, obecnego hrabiego Shiring, który był również jego dalekim kuzynem. Hrabia Roland wezwał Geralda do Kingsbridge, by ten spotkał się z przeorem i zaproponował, jak rozwiązać tę kwestię. Właśnie to wprawiło w zły humor ojca Merthina.

A potem sir Geralda okradziono.

Zauważył stratę po mszy. Merthin z przyjemnością obserwował dramatyczne przedstawienie w katedrze. Najpierw była ciemność i dziwne odgłosy, a później rozległ się śpiew, zrazu cicho, potem coraz głośniej, by wreszcie wypełnić ogromne wnętrze kościoła. Blask świec z wolna oświetlił świątynię i tłum wiernych. Merthin zauważył wtedy, że niektórzy pod osłoną ciemności popełniają drobne grzechy, które za chwilę miały im zostać odpuszczone: dwóch mnichów się całowało, a jakiś kupiec odsunął rękę od pulchnej piersi uśmiechniętej kobiety, która była żoną innego mężczyzny. Po powrocie do szpitala Merthin wciąż był podekscytowany.

Gdy czekali, aż zakonnice podadzą śniadanie, z kuchni wyszedł młody służący. Ruszył schodami na górę, niosąc tacę z dużym dzbanem piwa i paterą, na której leżały płaty gorącej solonej wołowiny.

— Twój kuzyn hrabia mógłby zaprosić nas na śniadanie do swojej prywatnej kwatery — rzuciła gderliwie matka. — Wszak twoja babka była siostrą jego dziadka.

— Jeśli nie masz ochoty na kaszę, możemy iść do gospody — odparł ojciec.

Merthin nastawił uszu. Lubił świeży chleb i solone masło, które podawano w gospodzie.

— Nie stać nas — stwierdziła matka.

— A i owszem — odparł ojciec, szukając sakiewki. Właśnie wtedy uświadomił sobie, że znikła.

Rozejrzał się po klepisku, jak gdyby sądził, że spadła na ziemię. Potem zauważył przecięte końce rzemyka i wydał gniewny ryk. Wszyscy spojrzeli na niego z wyjątkiem matki, która odwróciła głowę.

— To były wszystkie nasze pieniądze — mruknęła pod nosem.

Ojciec powiódł oskarżycielskim wzrokiem po ludziach zgromadzonych w szpitalu. Długa blizna biegnąca od jego prawej skroni do lewego ucha pociemniała. W wielkiej izbie zapadła pełna napięcia cisza: rozgniewany rycerz był niebezpieczny, nawet taki, którego najwyraźniej prześladował pech.

— Ktoś okradł cię w kościele, to pewne — orzekła lady Maud.

Merthin przyznał jej w duchu rację. Stłoczeni w ciemności ludzie kradli nie

tylko pocałunki.

— Ależ to świętokradztwo! — oburzył się.

— Pewnie wykorzystał moment, w którym podniosłeś tę dziewczynkę — dodała matka. Miała minę, jakby zjadła coś gorzkiego. — Wsunął rękę od tyłu i przeciął rzemień.

— Trzeba go znaleźć! — ryknął ojciec.

— Bardzo mi przykro, że coś takiego się zdarzyło, sir Geraldzie — rzekł młody mnich Godwyn. — Natychmiast zawiadomię Johna Constable'a *. Może rzuci mu się w oczy jakiś biedny mieszczanin, który nagle się wzbogacił.

Merthin pomyślał, że takie działanie nie rokuje powodzenia. Do Kingsbridge ściągnęły tysiące mieszczan i innych gości. Porządkowy nie jest w stanie obserwować wszystkich.

Jednak ojciec wydawał się uspokojony.

— Ten łotr powinien zawisnąć na szubienicy! — warknął, zniżając nieco głos.

— Czy zechcesz, panie, uczynić nam ten zaszczyt i zasiąść z nami do stołu przed ołtarzem? — zaproponował Godwyn, okazując współczucie.

Ojciec coś mruknął. Merthin wiedział, że ucieszył się z zaproszenia. Znaczyło ono, że jest traktowany lepiej od motłochu, który będzie jadł na tym samym klepisku, na którym spędził noc.

Moment zagrożenia wybuchem gniewu minął i Merthin nieco się odprężył. Ale kiedy zasiedli we czwórkę przy stole, z niepokojem zaczął myśleć o tym, co stanie się z rodziną. Ojciec był dzielnym wojownikiem, wszyscy tak mówili. Walczył za starego króla w Boroughbridge. To właśnie w tamtej bitwie miecz buntownika z Lancashire zostawił szramę na jego czole. Nie miał jednak szczęścia: niektórzy rycerze wracali z pól bitewnych z łupami. Przywozili klejnoty, wozy pełne drogocennych flamandzkich tkanin i włoskich jedwabi, lub przyprowadzali ojca szlachetnej rodziny, którego można było wymienić za tysiące funtów. Sir Geraldowi nigdy nie trafił się cenny łup. Mimo to musiał kupować oręż, zbroje i drogie wojenne wierzchowce, dzięki którym mógł spełniać swoją powinność i służyć królowi. Z jakiegoś powodu dochody z ziemi nigdy nie wystarczały, dlatego wbrew woli matki ojciec zaczął się zapożyczać.

Kucharczykowie wnieśli dymiący kociołek. Najpierw obsłużono rodzinę sir Geralda. Kasza przyprawiona została rozmarynem i solą. Ralph, który nie rozumiał, w jak trudnym położeniu znalazła się rodzina, zaczął opowiadać o mszy, lecz posępna cisza skłoniła go do zamknięcia ust.

Po posiłku Merthin podszedł do ołtarza, za którym schował łuk i strzały. Każdy by się zawahał, zanim ukradłby coś z takiego miejsca. Złodziej zdołałby przezwyciężyć lęk, gdyby nagroda była wystarczająco cenna, lecz łuk domowej roboty takiej nie stanowił. I rzeczywiście leżał tam, gdzie chłopiec go zostawił.

Merthin był z niego dumny. Łuk był mały, rzecz jasna. Naciągnięcie dużego, sześciostopowego łuku wymagało siły dorosłego mężczyzny. Łuk Merthina miał

---

* *Constable* (ang.) — porządkowy, policjant.

cztery stopy i był cienki, lecz poza tym wyglądał jak normalny angielski łuk, który pozbawił życia niejednego Szkota, walijskiego buntownika czy zakutego w zbroję francuskiego rycerza.

Ojciec do tej pory nie wspominał o łuku, a teraz spojrzał na niego, jakby widział go po raz pierwszy.

— Skąd wziąłeś łęczysko? — spytał. — Łęczyska są drogie.

— Ale nie to. Jest za krótkie. Dostałem je od łucznika.

Ojciec skinął głową.

— Poza tym jest bez zarzutu — stwierdził. — Wycięto je z wnętrza cisu, z miejsca, w którym biel spotyka się z twardzielą. — Wskazał dwa różne kolory drewna.

— Wiem — rzekł z zapałem Merthin. Nieczęsto miał okazję zaimponować ojcu. — Rozciągliwa biel jest najlepsza na przód, bo wraca do pierwotnego kształtu, a twardziel nadaje się na tylną część łęczyska, ciągnie do tyłu, gdy łuk jest zgięty.

— Właśnie tak — potwierdził ojciec, oddając synowi łuk. — Ale pamiętaj, to nie jest broń dla szlachcica. Synowie rycerzy nie zostają łucznikami. Oddaj to jakiemuś młodemu wieśniakowi.

Merthin był zawiedziony.

— Jeszcze go nawet nie wypróbowałem!

— Niech się bawią. To jeszcze dzieci — wtrąciła się matka.

— Racja — zgodził się ojciec, który stracił już zainteresowanie łukiem syna. — Ciekawe, czy ci mnisi podadzą nam piwo.

— Zmykajcie — powiedziała matka. — Merthinie, opiekuj się bratem.

— Raczej na odwrót — mruknął ojciec.

Merthin poczuł się dotknięty. Ojciec nie wiedział, jak się sprawy mają. Merthin umiał o siebie zadbać, lecz Ralph, pozostawiony sam sobie, wdawał się w bójki. Jednak Merthin orientował się, że kiedy ojciec jest w takim nastroju, lepiej z nim nie zadzierać, wyszedł więc bez słowa. Ralph powlókł się za nim.

Był pogodny listopadowy dzień, wysoko na niebie wisiały jasnoszare chmury. Chłopcy wyszli za ogrodzenie katedry i ruszyli główną ulicą, mijając ulicę handlarzy ryb, dziedziniec grabarzy i ulicę kucharzy. U stóp wzniesienia przekroczyli drewniany most nad rzeką. Tam kończyła się stara część miasta, a zaczynało przedmieście zwane Nowym Miastem. Szeregi drewnianych domów biegły pomiędzy pastwiskami i ogrodami. Merthin prowadził ku łące zwanej Polem Kochanków. Porządkowy i jego zastępcy rozstawili tam tarcze łucznicze. Z rozkazu króla po zakończeniu mszy wszyscy mężczyźni odbywali obowiązkowe ćwiczenia w strzelaniu z łuku.

Nie trzeba było nikogo zmuszać: wypuszczenie paru strzał w niedzielny poranek nie stanowiło wielkiego wysiłku. Stu lub nawet więcej młodzików z miasteczka ustawiło się w kolejce. Obserwowały ich kobiety, dzieci oraz ci mężczyźni, którzy uważali się za zbyt starych lub zbyt godnych, by zniżać się do strzelania z łuku. Niektórzy mieli własną broń. Dla tych, którzy byli zbyt biedni, John Constable miał tanie łuki wykonane z jesionu bądź leszczyny.

Było jak w święto. Dick Brewer* sprzedawał piwo w kuflach z beczki umieszczonej na wozie, a cztery nastoletnie córki Betty Baxter przechadzały się wśród gawiedzi z tacami pełnymi aromatycznych bułek. Co bogatsi mieszczanie wystroili się w futrzane czapki i nowe buty; nawet ubogie kobiety starannie uczesały włosy i ozdobiły peleryny nowymi obszyciami.

Merthin był jedynym chłopcem z łukiem, natychmiast zwrócił więc uwagę innych dzieci, które otoczyły jego i Ralpha. Chłopcy wypytywali go z zazdrością, a dziewczynki spoglądały z podziwem lub pogardą, w zależności od usposobienia.

— Skąd wiedziałeś, jak zrobić łuk? — spytała jedna z nich.

Merthin rozpoznał ją, bo stała blisko niego w katedrze. Była od niego mniej więcej o rok młodsza i miała na sobie sukienkę i płaszcz z drogiej, gęsto tkanej wełny. Dziewczęta w jego wieku zwykle męczyły Merthina, gdyż bez przerwy chichotały i niczego nie traktowały poważnie. Ta jednak spoglądała na niego i jego łuk ze szczerym zaciekawieniem.

— Domyśliłem się — odparł.

— Mądry jesteś. Czy z tego łuku można strzelać?

— Nie zdążyłem go jeszcze wypróbować. Jak ci na imię?

— Caris, pochodzę z rodziny Woolerów**. A ty?

— Mam na imię Merthin. Moim ojcem jest sir Gerald. — Ściągnął z głowy kaptur peleryny i wyjął ze środka zwiniętą w kłębek cięciwę.

— Czemu nosisz sznurek w kapturze?

— Żeby nie zamókł od deszczu. Tak robią prawdziwi łucznicy. — Merthin przywiązał cięciwę do nacięć na obu końcach łęczyska, lekko je naginając.

— Będziesz strzelał do tarczy?

— Tak.

— Nie pozwolą ci — wtrącił jeden z chłopców.

Merthin spojrzał na niego. Wysoki i chudy, miał około dwunastu lat, duże dłonie i stopy. Merthin widział go wieczorem w sali szpitala, był z rodziną. Mówili na niego Philemon. Kręcił się koło mnichów, zadając im pytania i pomagając w roznoszeniu kolacji.

— Oczywiście, że mi pozwolą — odparł Merthin. — Czemu mieliby zabronić?

— Bo jesteś za młody.

— To głupie. — W tej samej chwili Merthin zrozumiał, że nie powinien być tak pewny swego. Dorośli często postępowali nierozsądnie, jednak przekonanie Philemona o tym, że wie lepiej, rozzłościło go. Zwłaszcza że rozmowy słuchała Caris.

Odwrócił się i ruszył ku grupie mężczyzn czekających w kolejce do strzału. Rozpoznał jednego z nich, wyjątkowo rosłego i barczystego młodzieńca nazywającego się Mark Webber. Mark zauważył łuk i przyjaźnie zagadnął

---

* *Brewer* (ang.) — piwowar.

** *Wooler* (ang.) — wełniarz.

Merthina:

— Skąd masz ten łuk?

— Zrobiłem go — odparł z dumą Merthin.

— Spójrz, Elfricu — rzekł Mark do sąsiada — chłopak dobrze się spisał.

Elfric był krzepkim mężczyzną o podejrzliwym spojrzeniu. Zerknął przelotnie na łuk.

— Za mały — orzekł z lekceważeniem. — Strzała wystrzelona z takiej broni nigdy nie przebije zbroi francuskiego rycerza.

— Może i nie — zgodził się łagodnym głosem Mark — ale chłopak ma jeszcze rok lub dwa, zanim przyjdzie mu walczyć z Francuzami.

— Wszyscy gotowi, zaczynajmy! — zawołał porządkowy John. — Mark Webber będzie strzelał pierwszy.

Olbrzym wyszedł przed szereg. Podniósł z ziemi łuk o grubym łęczysku i bez trudu napiął cięciwę.

Porządkowy dopiero teraz zauważył Merthina.

— Chłopcom nie wolno strzelać — oznajmił.

— Dlaczego? — spytał z żalem Merthin.

— Mniejsza o to, po prostu usuń się.

Merthin usłyszał drwiący śmiech stojących w pobliżu dzieci.

— Z jakiego powodu nie mogę strzelać? — spytał oburzony.

— Nie muszę się tłumaczyć dzieciom — uciął John. — Mark, twoja kolej.

Merthin czuł się okropnie. Ten lizus Philemon w obecności wszystkich pokazał, że ma rację.

— Mówiłem ci — rzucił Philemon.

— Zamknij się i odejdź.

— Nie możesz mnie do tego zmusić — odparł Philemon, który był o sześć cali wyższy od Merthina.

— Ale ja mogę — wtrącił się Ralph.

Merthin westchnął. Na lojalność Ralpha zawsze można było liczyć, lecz gdyby teraz zaczął się za niego bić, Merthin wyszedłby nie tylko na głupca, ale także na tchórza.

— I tak sobie idę — mruknął Philemon. — Będę pomagał bratu Godwynowi. — Z tymi słowami się oddalił.

Pozostałe dzieci też zaczęły się rozchodzić w poszukiwaniu innych atrakcji.

— Możesz wypróbować łuk w innym miejscu — zaproponowała Caris. Najwyraźniej była ciekawa rozwoju wypadków.

Merthin się rozejrzał.

— Ale gdzie? — Gdyby ktoś zobaczył, że strzela bez nadzoru dorosłych, odebrano by mu łuk.

— Moglibyśmy pójść do lasu.

Merthin był zaskoczony. Dzieciom zabraniano wchodzić do lasu. Chronili się tam banici; mężczyźni i kobiety żyjący z grabieży, którzy mogli zedrzeć z ofiary ubranie albo uczynić z niej niewolnika. Groziły im jeszcze gorsze niebezpieczeństwa, o których dorośli zaledwie napomykali. A nawet gdyby

zdołali ich uniknąć, musieli się liczyć z tym, że ojciec zbije ich za złamanie zakazu.

Jednak Caris nie zdradzała strachu, a Merthin nie chciał się okazać mniej odważny od niej. Poza tym zachowanie porządkowego wprawiło go w buntowniczy nastrój.

— Dobrze — zgodził się. — Ale musimy uważać, żeby nikt nas nie zobaczył.

Caris wiedziała, jak temu zaradzić.

— Znam drogę.

Ruszyła w stronę rzeki. Merthin i Ralph podążyli za nią. Za nimi wlókł się mały trzynogi pies.

— Jak się wabi twój piesek? — zapytał Merthin.

— To nie mój. Dałam mu kawałek spleśniałego bekonu i teraz nie chce się ode mnie odczepić.

Maszerowali wzdłuż błotnistego brzegu rzeki, obok składów, nabrzeży i barek. Merthin dyskretnie przyglądał się dziewczynce, która w tak naturalny sposób przejęła rolę przywódcy. Z jej twarzy, która nie była ani ładna, ani brzydka, bił wyraz determinacji, a w zielonych, nakrapianych brązowymi plamkami oczach czaiła się psota. Jasnobrązowe włosy miała splecione w dwa warkocze — taka moda panowała wśród zamożnych kobiet. Jej ubranie musiało być drogie, lecz Caris nosiła praktyczne skórzane buty, a nie eleganckie trzewiki z tkaniny, w które stroiły się szlachetnie urodzone damy.

Odbiła od rzeki i poprowadziła ich przez skład drewna. Nagle cała trójka znalazła się w pełnym zarośli lesie. Merthin poczuł się niepewnie. Za każdym drzewem mógł kryć się banita, więc chłopiec zaczął żałować swojej brawury. Wstydził się jednak wycofać.

Szli dalej, rozglądając się za polaną, na której Merthin mógłby wypróbować swój łuk.

— Widzicie ten duży krzak ostrokrzewu? — spytała konspiracyjnie Caris.

— Tak.

— Gdy tylko go miniemy, przykucnijcie i nic nie mówcie.

— Dlaczego?

— Sami zobaczycie.

Po chwili cała trójka przycupnęła za krzakiem. Trzynogi piesek usiadł obok, spoglądając z nadzieją na Caris. Ralph chciał o coś zapytać, lecz Caris uciszyła go gestem.

Nagle obok krzaka ukazała się dziewczynka. Caris wyskoczyła i złapała ją. Tamta krzyknęła.

— Cicho! — rozkazała Caris. — Droga jest niedaleko, nie chcemy, żeby ktoś nas usłyszał. Czemu za nami idziesz?

— Masz mojego psa. On nie chce do mnie wrócić! — zaszlochała tamta.

— Ja cię znam, widziałam cię rano w kościele — powiedziała cicho Caris. — Nie płacz, nic ci nie zrobimy. Jak masz na imię?

— Gwenda.

— A jak się wabi pies?

— Hop.

Gwenda podniosła pieska, który zlizał jej z twarzy łzy.

— No, to go masz. Chodź lepiej z nami, bo znów ci ucieknie. Poza tym nie wiem, czy sama znajdziesz drogę do miasta.

Poszli.

— Co ma osiem rąk i jedenaście nóg? — spytał Merthin.

— Poddaję się — odezwał się bez wahania Ralph. Zawsze tak robił.

— Ja wiem! — powiedziała z uśmiechem Caris. — To my. Czworo dzieci i pies. — Roześmiała się. — Zabawne.

Merthin się ucieszył. Inni rzadko doceniali jego żarty, a dziewczęta prawie nigdy.

— Dwie ręce i dwie ręce, i dwie ręce, i jeszcze dwie, to osiem rąk — tłumaczyła Gwenda Ralphowi. — Dwie nogi...

W okolicy nikogo nie było, co bardzo dzieciom odpowiadało. Nieliczne osoby, które miały coś do zrobienia w lesie — drwale, węglarze drzewni, kowale — nie pracowali w niedzielę, a arystokraci nie wybierali się w święta na polowanie. Gdyby dzieci kogoś spotkały, najprawdopodobniej byłby to banita. Jednak szanse na to były nikłe. Las rozciągał się na wiele mil we wszystkie strony. Merthin nigdy nie zawędrował tak daleko, by zobaczyć jego koniec.

Dotarli do sporej przesieki.

— W sam raz — uznał Merthin.

Na przeciwnym krańcu polany, jakieś pięćdziesiąt stóp od dzieci, rósł dąb o grubym pniu. Merthin ustawił się bokiem do celu, tak jak czynili łucznicy, których widywał podczas ćwiczeń. Wyjął jedną z trzech strzał i przyłożył koniec do cięciwy. Strzały były równie trudne do zrobienia jak łuk. Wykonał je z drewna jesionowego i zaopatrzył w lotki z gęsich piór. Nie udało mu się zdobyć żelaza na groty, naostrzył więc tylko końcówki i przypalił nad ogniem, żeby stwardniały. Wymierzył w dąb i naciągnął cięciwę, co wymagało dużego wysiłku. Po chwili wypuścił strzałę.

Spadła na ziemię w sporej odległości od celu. Hop popędził na trzech nogach, żeby ją przynieść.

Merthin zdziwił się, że strzała nie poszybowała dalej i nie wbiła się w pień. Uświadomił sobie, że za słabo naciągnął cięciwę.

Przełożył łuk do prawej ręki, a strzałę wziął do lewej. Nie był ani leworęczny, ani praworęczny, co stanowiło pewną osobliwość. Przed drugim strzałem naciągnął cięciwę z całej siły i zdołał mocniej zgiąć łęczysko. Tym razem strzała prawie doleciała do drzewa.

Za trzecim razem wymierzył nieco wyżej, licząc na to, że strzała poszybuje łukiem i spadnie na cel z góry. Jednak wziął za dużą poprawkę i strzała znikła między gałęziami, a potem spadła na ziemię w tumanie brązowych liści.

Merthin był zawstydzony. Strzelanie z łuku okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Łuk sprawował się dobrze, ale strzelcowi zabrakło zręczności.

Caris znów nie zauważyła jego rozterek.

— Pozwól mi spróbować — poprosiła.

— Dziewczynom nie wolno strzelać — stwierdził Ralph, wyrywając broń z rąk brata. Stanąwszy bokiem do tarczy, tak jak Merthin, nie strzelił natychmiast, tylko napiął łuk kilka razy, aby go wyczuć. Wydał mu się twardszy, niż sądził, lecz po kilku próbach go opanował.

Hop przyniósł wszystkie trzy strzały i położył u stóp Gwendy, a dziewczynka zebrała je i podała Ralphowi.

Chłopiec wymierzył w pień drzewa, nie naciągając łuku. Merthin uprzytomnił sobie, że właśnie tak powinien był postąpić. Dlaczego Ralphowi, który nie potrafi odgadnąć żadnej zagadki, to wszystko przychodzi tak naturalnie? Ralph naciągnął łuk, z pewnym wysiłkiem, lecz płynnie. Wypuścił strzałę, która trafiła w pień i wbiła się na cal w miękką korę. Chłopiec zaśmiał się triumfalnie.

Hop rzucił się w ślad za strzałą. Dotarłszy do dębu, zatrzymał się, zdezorientowany.

Ralph znów naciągnął łuk. Merthin odgadł, co zamierza zrobić.

— Nie...

Ale było już za późno. Ralph strzelił do psa. Strzała wbiła się w jego grzbiet. Zwierzę padło, jego ciałem wstrząsały drgawki.

Gwenda krzyknęła.

— O nie! — zawtórowała jej Caris. Dziewczynki pobiegły do psa.

— Co ty na to? — spytał z dumą Ralph.

— Zastrzeliłeś jej psa! — rzekł gniewnie Merthin.

— No i co z tego? Miał tylko trzy nogi.

— Ta dziewczynka go lubiła, idioto. Spójrz, jak płacze.

— Zazdrościsz, bo nie umiesz strzelać — odparł Ralph. W tej samej chwili coś zauważył. Płynnym ruchem nałożył strzałę, obrócił się i wystrzelił, gdy łuk wciąż był w ruchu. Merthin nie wiedział, do czego brat strzela, dopóki strzała nie trafiła w cel. Tłusty zając skoczył wysoko, ze strzałą tkwiącą głęboko w tylnej części tułowia.

Merthin nie potrafił ukryć podziwu. Nie każdy łucznik, nawet wprawny, trafiłby biegnącego zająca. Ralph miał wrodzony talent. Merthin mu zazdrościł, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Marzył o tym, by zostać rycerzem, silnym i odważnym, i walczyć za króla tak jak ojciec. Bardzo go więc bolało, gdy okazywało się, że jest w czymś nieudolny, na przykład w strzelaniu z łuku.

Ralph znalazł kamień i rozbił zającowi czaszkę, kończąc jego mękę.

Merthin przyklęknął obok dziewcząt i Hopa. Pies nie oddychał. Caris delikatnie wyciągnęła strzałę z jego szyi i podała Merthinowi. Z rany nie trysnęła krew: zwierzę było martwe.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. W ciszy usłyszeli krzyk mężczyzny.

Merthin z bijącym sercem zerwał się na równe nogi. Usłyszał drugi okrzyk, w lesie czaiło się zatem więcej ludzi. Oba głosy były gniewne. Toczyła się jakaś walka. Merthina ogarnął lęk, pozostałe dzieci również. Stali jak wryci, nastawiając uszu. Usłyszeli, że ktoś pędzi na przełaj przez las, łamiąc leżące gałęzie i młode drzewka.

Nieznajomy biegł w stronę dzieci.